

# Paulina Olechnowska

---

## Mała ojczyzna mojej babci

---

Rocznik Chojeński 3, 261-264

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jest już zupełnie ciemno. Babcia dokłada do pieca, a ja wyłączam dyktafon. Pakuję swoje rzeczy i zakładam kurtkę. – Dobranoc babciu. Bardzo Ci dziękuję – zegnamy się. – Nie ma za co Emilku. Przyjedź, jeśli będziesz potrzebował więcej materiałów – odpowiada babcia. Wychodzę. Mgła stała się jeszcze gęstsza. Do domu powinienem wrócić za jakieś 40 minut. Jedno jest pewne. Dzisiaj już nie zasnę.

\* \* \*

*Paulina Olechnowska*

Gimnazjum im. Janusza Korczaka w Chojnie

## Mała ojczyzna mojej babci

Na lekcjach historii uczymy się o II wojnie światowej. Poznajemy daty, wydarzenia, przyczyny i skutki. Jednakże to wszystko jest takie *zimne*. Czytając podręcznik do historii, czujemy się, jakbyśmy czytali najwyżej jakieś opowiadanie. Rzadko kiedy poznajemy historię szarych jednostek. Uczymy się ogólnikowo, nie skupiamy się na życiu pojedynczych osób. O powojennych przesiedleniach w Polsce nie znajdziemy w naszych podręcznikach żadnych informacji. Nauczyciele realizują program i idą dalej. A przecież ta historia dotyczy nas samych, naszego miejsca zamieszkania, naszej tożsamości i nawet języka, którym się posługujemy.

Wielu z nas ma źródła tej historii zaraz obok siebie, na wyciągnięcie ręki. Najlepszymi nauczycielami historii są nasi dziadkowie. Od wczesnego dzieciństwa słuchałam historyjek, które opowiadała mi moja babcia. Uważam je za istny skarbiec historycznych ciekawostek i faktów wartościowych zarówno w wymiarze osobistym, jak i ogólnym.

Moja babcia pochodzi z terenów obecnej Ukrainy, z małej wsi Milczyce, położonej w okręgu lwowskim. Często słyszałam, że była to mała, jednak zadbana wioska, nad którą górował piękny i duży kościół. Znajdowały się tam łąki, rzeczki, powietrze było czyste. Zdawałoby się, idylliczne miejsce do życia. Jednakże, gdy trochę podrosłam, babcia ukazała mi to miejsce z tej gorszej strony. Milczyce były zamieszkiwane przez Polaków, którzy byli znienawidzeni przez Ukraińców. Dowiedziałam się od babci o ludziach, którzy wyszli na pole i już z niego nie wrócili. Sposoby mordów były naprawdę brutalne, niczym wyciągnięte ze scen makabrycznego horroru. Ginęły setki Polaków. Gdy patrzę na to teraz, z perspektywy własnego szczęśliwego i bezpiecznego życia, stwierdzam, że musiało się tam żyć strasznie. Wieczna nie-

pewność i strach. A moja babcia była wówczas bezbronną, jedenastoletnią dziewczynką.

Mieszkańcy wsi o przesiedleniu na zachód dowiedzieli się niecałe pół roku wcześniej. Wyjechać mieli wszyscy Polacy albo chociaż ci, którzy czuli się Polakami i chcieli opuścić miejsce prześladowań. Mówiono im, że nie pojedą daleko, tylko za polską granicę. Mogli wziąć ze sobą wszystko, jednak najczęściej zabierali zwierzęta, jedzenie, osobiste rzeczy, zboże czy siano. Warunki transportu były przerażające. Zamiast w wagonach, ludzie podróżowali na „platformach”. Bez dachu ani ścian. Robili sobie prowizoryczne zabezpieczenia z desek, snopków siana i wszystkiego, co było pod ręką. Natomiast zwierzęta były przewożone w wagonach, w których obecnie zazwyczaj transportuje się węgiel. Osobiście, nie wyobrażam sobie podróży w takich warunkach, a co dopiero podróży trwającej ponad miesiąc!

Wędrówka rozpoczęła się w Rudkach, przez Lwów, Medykę, Kraków, Śląsk... W okolicach Bytomia pasażerowie musieli opuścić pociąg, ponieważ nie było gotowych torów. Przez dwa tygodnie koczowali na kompletnym pustkowiu. Dopiero gdy przyjechał pociąg wiozący żołnierzy z frontu, powróciła nadzieja. Był to już pojazd z dachem, w którym było o wiele bezpieczniej. Dopiero wtedy spadł pierwszy deszcz. Podróżujący dziękowali Bogu, że nie padało, gdy nie mieli żadnej ochrony nad głową. Może to był zwykły fart, ale dla tych ludzi to była łaska Boga. Jednak wszędzie widzieli tylko gruzy, zniszczenie i cierpienie. Babcia do tej pory z drżeniem w głosie mówi, że bała się na to wszystko patrzeć. Pociąg raz jechał, raz stał, czekając na naprawę torów.

Pewnego poranka w końcu dotarli do Chojny. Ludzie nie wiedzieli nawet, gdzie się znajdują, wysiedli z pociągu i zobaczyli miasteczko całe w gruzach. Ale nie załamali się. Postanowili poszukać jakiegoś miejsca do zamieszkania. Ktoś udał się na poszukiwanie schronienia, ale nic konkretnego nie znalazł. Pojawiło się z wątpienie i pytania: „Co my tutaj robimy?”, „Co teraz?”. Na szczęście po niedługim czasie przyjechało polskie wojsko i zaczęło rozwozić ludzi do okolicznych wsi.

Moja rodzina trafiła do Krajnika Dolnego. Krajobraz, jaki zastali, można zdefiniować w dwóch słowach: gruzy i zarośla. Żal i strach w ich sercach osiągnęły apogeum, gdy dowiedzieli się, że pobliska rzeka to Odra. Pisali o niej w swoich listach żołnierze, którzy walczyli o Polskę. Definiowali ją jako wielką, niemiecką rzekę, usianą polskimi trupami, w której zamiast wody płynie polska krew. Wśród przybyłych wybuchł płacz. Byli przeświadczeni, że znajdują się w Niemczech. Z przerażeniem myśleli o tragicznej ironii losu. Dopiero co uciekli od Ukraińców, a już są w rękach Niemców. Niezrozumienie sytuacji wywoływało niepewność i strach. Jakby na potwierdzenie obaw w Krajniku było jeszcze kil-

ku Niemców, którzy utrzymywali się, dostarczając polskiemu wojsku pożywienia w postaci ryb. Jednak po pewnym czasie wyjechali na zachód.

Mimo że po drugiej stronie rzeki mieszkał największy wróg, społeczeństwo musiało zacząć jakoś funkcjonować. Ludzie zasiedlali opuszczone gospodarstwa. Nad każdym zajęтым domem powiewała biało-czerwona chorągiewka.

Tu babcia zawsze wspomina pewną ciekawą historię, jaka spotkała moją rodzinę. Mój pradziadek wjechał ze swoimi bagażami na czyjeś podwórko. Za chwilę przyszedł pewien mężczyzna i zapytał pradziadka, co ten robi. Zapytany odparł, że chce tylko przechować swoje rzeczy, bo widzi, że podwórko jest zamknięte i będą tu bezpieczne. Wywiązała się między nimi taka rozmowa:

– Skąd wy jesteście?

– A z daleka – odpowiedział pradziadek.

– Ja wiem, że z daleka, słyszę po głosie. Pytam dokładnie, o miejscowość!

– Jesteśmy z Milczyc.

Gdy mężczyzna to usłyszał, przytulił mojego pradziadka, szepcząc wzruszony: – My jesteśmy rodakami!

Okazało się, że mieszkał wcześniej około 8 km od Milczyc. Był bardzo dobrym człowiekiem, ponieważ zgodził się, by moja rodzina zamieszkała w jego domu, a sam wyprowadził się do narzeczonej.

Zawsze budzi się we mnie refleksja, gdy o tym myślę. Wtedy, gdy rządziły strach i cierpienie, ludzie potrafili sobie bezinteresownie pomagać. Podziwiam tamtych ludzi za odwagę i motywację do życia. Zdawałoby się, że ich dola będzie tragiczna. A jednak wzięli się do pracy. Zaczęli uprawiać pola, wypasać zwierzęta i powoli tworzyć pierwsze gospodarstwa. Mimo że wiele plonów swej pracy musieli oddać wojsku, robili to z chęcią. Dzięki obecności polskich patroli czuli się bezpieczniej. Każdy pomagał każdemu. I tak żyli, powolutku, małutkimi kroczkami posuwając się do przodu. Z nadzieją patrząc w przyszłość.

Miałam okazję odwiedzić te słynne Milczyce, o których słuchałam od mojej babci od dzieciństwa. Było to dla mnie niezwykle, fascynujące doświadczenie. Wiele się tam zmieniło. Przede wszystkim nie są to już Milczyce, tylko Zielony Gaj. Dużo budynków, o których pamiętała moja babcia, leży w gruzach lub jest w bardzo złym stanie. Tylko kościół, który zapamiętała jako górujący nad całą wsią, stoi, jak stał. Wiedziałam z jej opowiadań, że kościół jest trzynawowy, a jego sklepienie skąpane jest w złotych gwiazdkach. Rzeczywiście, tak było. Kościół jednak nie jest już katolicki, tylko prawosławny. Zwiedziliśmy tę miejscowość w zadumie. Pytaliśmy przypadkowych ludzi o różne ślady przeszłości. O dziwo, wielu z nich dobrze mówiło po polsku.

Gdy szukaliśmy rodzinnego domu babci, zadzwoniliśmy do niej. Bardzo żalowała, że nie może być tam z nami, jednak stan zdrowia jej na to nie pozwolił. Ale ja ciągle mam nadzieję, że babcia kiedyś będzie mogła odwiedzić swą rodzinną miejscowość. Wiem, że bardzo często tam wraca w swoich rozmyślaniach.

Zadziwia mnie jej doskonała pamięć, to że potrafi odtworzyć zdarzenia sprzed kilkudziesięciu lat z każdym szczegółem. Często żartujemy, że mogłaby napisać o tym książkę. Czasami myślę, że to nie byłby to taki głupi pomysł, bo historie dziadków są czasem o wiele ciekawsze niż fabuła najlepszego filmu sensacyjnego. Dobrze jest poznawać dzieje bliskich nam osób, bo wtedy historia regionu, czy kraju wydaje się nam bliższa i bardziej realna.

Mówi się, że poniemieckie tereny to region bez historii. A przecież takich historii jak ta, opowiedziana przeze mnie, są setki! Setki niesamowitych opowieści i uczuć. Niestety, gdy moja babcia powiedziała, że w Krajniku jest już tylko kilka osób, które pamiętają czasy przesiedleń, zrobiło mi się bardzo żal. Nie wstydzmy się! Poznawajmy dzieje naszej rodziny i regionu poprzez opowieści naszych przodków, dopóki mamy taką możliwość. Może my zachowamy je dla naszych potomków i będziemy o nich pamiętać, tworząc tę nową historię naszego regionu!

\* \* \*

*Anna Tomczyk*

Liceum Ogólnokształcące nr 1 w ZSO Gryfino

## Szukaliśmy pracy, a znaleźliśmy siebie...

W czasach powojennych na „ziemie odzyskane” przyjechało wielu ludzi, głównie w poszukiwaniu pracy. Nie mieli oni łatwego życia, jednak większość z nich poradziła sobie, głównie dzięki pozytywnemu nastawieniu do życia i dobremu kontaktowi z innymi ludźmi. Poznajmy historię państwa Adamków, którzy przybyli tu w celu znalezienia zarobku, a znaleźli o wiele więcej – prawdziwą miłość i ciepło domowego ogniska.

– Był rok 1957 – mówi pani Stasia Adamek (z domu Twaróg) – W moich rodzinnych Gieraszwicach zdałam „małą maturę” i zastanawiałam się, co mam zrobić z dalszym życiem. Ludzie zajmowali się rolnictwem na własny użytek, nie znalazłabym tam pracy zarobkowej. Kiedy Stanisława Stefańska – córka siostry mojej mamy wróciła po wojnie z Niemiec, gdzie została wywieziona, otrzymałam od niej zaproszenie do Szczecina w celu rozpoczęcia pracy. Nie